

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migowa).

14

— Może przecież lada dzień przyjdzie potwierdzenie śmierci Ksawerego...

— A syn pani?

— To właśnie jest najgorsze! Fabiuszu, zaklinam cię, wymyśl coś. Dopomóż mi do wywikłania się z tej matni.

— Klaudyusz powinien mieć odwagę za was dwoje. Ale mnie się tak zdaje, że jemu braknie energii nawet dla samego siebie.

— Kocham go!

— A jeśli Ginetta dowie się...

— Tem gorzej — jęknęła Marion. — Ginetta jest istotą bez litości, bez miłosierdzia. Niema jej co żałować...

— Nie żałować, dobrze, ale jej można się obawiać. Bóg tylko jeden wie, do czego ona może być zdolna...

— Ach! niech mnie zabiją, to byłoby najlepsze zakończenie.

Ten okrzyk był szczery i wzruszył starego artystę. Grantouvre zrozumiał jednak, że wszelkie napomnienia, ostrzeżenia, rady są tutaj bezcelowe. Albowiem cokolwiekby powiedział, Marion pójdzie za głosem krwi. Nie po radę przyszła do starego przyjaciela, ale gwoli ulżenia swemu sercu. Nie walczyć pragnęła ze swą miłością, ale mówić o niej.

Poprzestał więc na nieznających pocieszeniach, czuł bowiem, że więcej niczego nie wymaga od niego ta kobieta.

Kiedy wreszcie Marion, pożegnawszy go odeszła, zdał sobie sprawę z tego, że jeszcze raz oszukało go serce. Nieskalana przyjaciółka okazała się złudzeniem, pozostawał portret, dzieło sztuki.

— — — — —
Upalne miesiące letnie czerwiec i lipiec mi-

nęły dla Klaudyusza i Marion wśród ciągłych wahań pomiędzy szalem zmysłów a wyrzutami sumienia.

Przez tę walkę wewnętrzną wzajemny stosunek kochanków pogłębiał się i zacieśniał coraz bardziej.

Oboje znajdowali w swej miłości ucieczkę i ochronę od dręczących myśli, które u Marion graniczyły niekiedy wprost z rozpaczą.

Tryb życia ich nie zmienił się. Może nigdy doktor Etiennant nie okazywał tyle poświęcenia swym pacjentom i nigdy goręcej nie zajmował się badaniami naukowymi. Miłość potęgowała i pobudzała do czynu wszystkie jego siły duchowe i fizyczne.

Marion codziennie prawie pisała do syna, odwiedzała Jankę i mówiła z nią o Franciszku, starała się widywać Ginettę i chodzić z nią jak dawniej po sklepach, po wizytach, na spacerach.

Rozmawiały ze sobą o rzeczach banalnych, obojętnych. Brzydka doktorowa nigdy nie uczyniła najmniejszej aluzji co do przypuszczalnej niewierności swego męża. Obie kobiety tak się wżyły w tę komedię, że chwilami zapominały, że ją grają i że mają słuszne powody do nieufności.

Na początku sierpnia Ginetta wyjechała z Janką na wybrzeże normandzkie. Klaudyusz wymówił się od tego wyjazdu nawalaniem pracy i niemożnością otrzymania urlopu.

Marion wynajęła z matką na lato willę w Ville-d'Avray.

Ginetta wbrew zwyczajowi swemu nie nalegała wcale na męża, aby z nią pojechał. Liczyła bowiem na to, że Klaudyusz jeżeli ją zdradza zechce skorzystać z tych wakacji i napewno prędzej lub później popełni jakąś nieostrożność, która go zdemaskuje.

Nie myliła się.

Kochankowie, uwolnieni od niebezpiecznej czujności zazdrosnej żony, postanowili widywać się cztery razy na tydzień. Był to dla nich okres niezamąconej rozkoszy.

Marion po śniadaniu wsiadała do pociągu i wysiadła na dworcu św. Łazarza, za dziesięć minut była już na ulicy des Ombres. Przepędzała cały dzień z Klaudyuszem i dopiero wieczorem wracała do Ville d'Avray.

Obawiali się wspólnie pokazać w Paryżu w restauracji lub w kawiarni, ale pewnego pięknego dnia zrobili odkrycie, że właściwie Klaudyuszowi nie przeszkadza nic, aby po swoich godzinach szpitalnych przyjechał do Villa d'Avray i zjadł u Cabossusa obiad w towarzystwie Marion. Opieki pani Lebien nie trzeba było się obawiać, bo ta z oszczędności jadła stale tylko u siebie w domu.

Obiecywali sobie, że to będzie uroczystość dla nich ta wycieczka, to kilkugodzinne złudzenie swobody.

Jakież było zdumienie Klaudyusza, kiedy wsiadając w Villa d'Avray, zobaczył spieszącego ku niemu zgrabnego, przystojnego strzelca alpejskiego z walizką w ręku.

Był to nikt inny jak tylko Franciszek Darmelle, który otrzymawszy kilka dni urlopu, chciał zrobić niespodziankę matce i babce.

Doktor starał się o ile możliwości nie zdradzić ze swym złym humorem i przykrem rozczerwaniem. Zaprosił Franciszka by odwiedził swą narzeczoną w Normandii, poczem ją mówić o czynionych usiłowaniach w Hiszpanii i Szwajcarii, które nie doprowadziły do żadnego wyniku. O zaginionym nie było żadnej wiadomości.

Zaginiony!

Klaudyusz ze wszystkich sił odpędzał od siebie myśl o dawnym przyjacielu, myśl, która zalewała mu serce falą gorczy i wstydu.

Zaczynał poprostu z jakąś nienawiścią odnosić się do wspomnienia o Ksawerym i teraz uczył, że to brzydkie uczucie zaczyna się rozciągać i na syna Ksawerego, na przyszłego męża Janki.

Niechęć ta spotęgowała się, kiedy zobaczył jak Marion uszczęśliwiona urlopem syna, zdawała się wcale nie żałować straconego sam na sam z kochankiem.

Obiad u Cabossusa nabrał oczywiście charakteru uroczystości rodzinnej. Młody żołnierz rozgadał się na dobre, opowiadał bez końca o swoich przeżyciach, a matka pochłaniała jego słowa, patrząc na niego z zachwytem i uwielbieniem. O kochanka nie troszczyła się wcale. To też Klaudyusz czuł się w tym kółku rodzinnym intruzem.

(C. d. n.)

W. Horowicz.

WIZYA.

Stał ukryty za kotarą i obserwował. Z błyskotliwego zgiełku sali balowej usunął się w ten kącik usironny, aby na chwilę bodaj opanować swe nerwy. Podniecający szal tańca unosił go i porywał za sobą. To też szalał. Ale wreszcie przyszedł moment, gdzie nagle skłębilo się w nim wszystko, udany spokój rozwiązał się, a szal zabawy stał się dlań udręką. Odruchowo wycofał się z sali, a teraz ukryty we framudze okna patrzył na pół przytomnym wzrokiem na przesuwające się przed nim pary. Wśród czerni fraków błyskały raz po raz półnagie ramiona. Dolaływały do niego kaskady śmiechu lub zduszone szeptu przemykających tancerzy.

Był znużony, chwilami tracił świadomość otoczenia. Nadmiar światła, ruch przesuwających się przed nim postaci raził go, to też opuścił powieki i powoli zapadał w jakiś dziwny półsen, pół-jawę, gdzie myśl tylko pracuje, ale świadomość rzeczywistości staje się bardzo mała.

W umyśle jego w tej chwili odżywały obrazy, jakby wizje jakiegoś, czegoś prześnionego, przeżytego, czasów, które były, a przeszły mimo, pozostawiając czasem popioły tylko lub zgłiszczce, czasem zaledwie wspomnienie. Rytm walca, który jakby z oddali dochodził do jego świadomości, zacierał się, zlewał w jakąś dziwną harmonię, na ile której wyrastały obrazy.

Żył szeroko, bogato, ale jak? Czy w tem wszystkim co go otaczało, było bodaj trochę jego własnej duszy? Czy biorąc obficie na prawo i lewo dawał ze siebie w zamian chociaż trochę uczucia lub myśli? Zastanowił się i spojrzał w głąb. Jak kaskada przewalały się przez jego ręce dusze drugich, porywane w zawrotny taniec życia, rzucane lub pozostawiane w pół drogi, wykołowane nieraz, albo zapomniane. Gdzie był on sam? Nie umiał się odnaleźć. W powodzi kłamstwa życiowego, którem pokrywał sam przed

sobą pustkę, jaką nosił w duszy, zatracił się zupełnie. Chwilami budziła się w nim dzika nienawiść do wszystkiego i wszystkich, a wtedy niszczył w koło siebie wszystko, co mógł dosięgnąć, upojeniem zwycięstwa głuszył ból, który trawił mu duszę. A potem, gdy przyszła chwila opamiętania, brzydził się sam sobą.

Silniejszy śmiech, jaki z sali napłynął, oprzytomnił go na chwilę. Sam w śmiech uderzył.

— Demon!

Odwrocił głowę i w zawieszonym obok lustrze zobaczył swą postać odbitą. Zgarbiony, w czarnym fraku, ze zburzoną czupryną, wyglądał w tej chwili... śmiesznie.

Kiwnął ręką swojemu „ja”, które przed sobą widział.

— Skarlały!

Popatrzył jeszcze przez moment.

— Nieszkodliwy!

Siła przyzwyczajenia zrobiła w tej chwili swoje. Szybko sięgnął do kieszonki po grzebyk, wyprostował się i za chwilę był znowu tym zwykłym codziennym Stefanem, znanym i uznanym.

Spojrzał na salę. Krag par tańczących przesunął się jeszcze ciągle w szybkim rytmie. Gdy tak stał zapałszy, nagle coś traciło go w nogę. Spojrzał. Z stóp jego bielił się mały kartonowy kwadracik. Widocznie w wirze tańca przy nieostrożnym obrocie rozchyliła się jakaś pompadurka niewieścia i uroniła część swej zawartości. Odrzucona rozpędem kartka upadła aż tutaj. Pochylił się mimo woli i podniósł. Czysty kawałek kartonu, jakby bilet wizyjowy. Powoli odwrócił drugą stronę.

Coś napisane! Chwilę wahał się, ale potem zdecydowanym ruchem odchylił zlekka portyere, wpuszczając więcej światła i czytał:

„Po tańcu czekam w oranżeryi, przyjdź. E”.

I nic więcej. Przyglądał się pismu. Było drobne, a więc kobiece. Literki równe o ostrawem zakończeniu, nakreślone były niewyraźnie ołówkiem, jakby w pośpiechu.

Rozsunął jeszcze szerzej portyere i spojrzał po parach, które dopiero co go minęły. Która z nich zgubiła tę kartkę? Czy ona była już czytana? czy też dopiero dojść miała celu swego

przeznaczenia? Obojętne, roześmiane twarze odpowiedziały mu, a właściwie nie dostrzegł ani jednej, którąby mógł posądzić o tą ciekawą zgubę.

Zapusił z powrotem portyery i usiadł w framudze na aksamitnej ławeczce. Patrząc na bilec i starał się odgadnąć jego tajemnicę. Kto ona? Bo, że to była ona, był w tej chwili pewny. Czy los rzucił mu w ręce tajemnicę kogoś nieznanego, może pilnie strzeżoną, czy może był to zwykły pośrednik schadzki, a może intrygi...

Oglądał go ze wszystkich stron.

A gdyby tak przekonać się... Z uśmiechem obracał bilecik w ręce. Jeśli to teraz zgubiono, zapewne przed chwilą był napisany. Może w tej samej oranżeryi, do której zapraszał? Jeszcze raz odczytał nakreślone słowa.

„E”. — Jakie imię? Ewa, Elżunia, Ema...

Finalne akordy walca rozbrzmiały po sali. Jeszcze kilkanaście taktów a muzyka się urwie. Pary zatrzymają się w pół obrotu — a wtedy...

Przyglądał się białej ćwiartce... Czem ty jesteś, czem być możesz? Kto...

Ostatni takt uderzył rozgłośnym dźwiękiem trąb. Zerwał się z miejsca. Iść?!

Dźwięki gasły, rozplywały się. Na sali zrobił się gwar. Środek pustoszał coraz szybciej.

— Iść?... — wypłynęło mu pytanie ze zdwojoną siłą.

Silnem szarpnięciem rozchylił portyery i w kilka momentów stał już u szklanych drzwi oranżeryi. Zawahał się. A jeśli ta kartka nie na dzisiaj miała swe znaczenie, to poco...

Spojrzał w głąb długiego jakby korytarza. Szerokolistne palmy zwieszały swe gałęzie. Tu i ówdzie rozsiane ławeczki gubiły się w powodzi zieleni. Słabe światło elektryczne fantazyjnym półmrokiem kryło wnętrze. Powoli rozchylił drzwi. Wionął ku niemu subtelny zapach kwiecia i atmosfera przesycona wilgocią.

Jak zbrodniarz wkraść się do tego przybytku. Uszedłszy kilka kroków, opadł na ocienioną ławeczkę, zwrócił się twarzą ku drzwiom i czekał.

(Dokończenie nastąpi.)